

— Panno Anielko, wie pani, że ja panią strasznie lubię, tak jakoś pani wierzę, sama nie wiem dlaczego, że wszystkobyłam pani powiedziała i przed panią to ani rusz nie mogę skłamać... Już nieraz myślałam, żeby to pani chciała być moją przyjaciółką...

— Ależ chętnie...

— I będzie mi pani mówiła ty?

— Naturalnie, ale w takim razie ty mnie tak samo.

— Nie... nie... Jaby nie śmiała. Wiem, że pani niewiele starsza odemnie, ale pani dużo mądrzejsza i taką ma jakąś powagę w sobie... Może później.

— Dziękuję za komplement. Nie wiedziałam, że na tak poważną matronę wyglądam! — żartowała rozbawiona Anielka.

— Ale skądże znowu matrona?! Pani jest młoda i prześliczna, ładniejsza aniżeli te wszystkie panie i panny, które tutaj przychodzą. Ach! Gdybym to ja miała taką siostrę! Ale Kazia, to jeszcze dzieciak i strasznie niezdolna. A mama moja to umarła, jak ja miałam sześć lat...

Serce Anielki zabiło żywiej. To poczucie wspólnej doli sierocy pociągnęło ją silniej ku Józii.

— I ja jestem sierotą, Józio!

— Tak, wiem, ale pani przynajmniej miała ciotkę, która panią kocha, która panią wychowała. A mnie to właściwie nikt nie wychowywał. Tatusz dawał pieniądze, wykrzyczał, gniewał się, jeżeli coś za drogo kosztowało, a pozatem to się wcale o mnie nie troszczył. O Kazię to już więcej... Wie pani, mnie się zdaje, że tatusz to mnie jakoś niebardzo lubił! Mówi zawsze, że mam zupełnie podobną i z charakteru i z twarzy do mamy. — A ja słyszałam od służących, że tatusz i mama źle żyli ze sobą i mama się tem gryzła i dlatego umarła tak wcześnie.

Oczy Józii straciły swoje wesołe, filuterne błyski, wyglądała w tej chwili na dużo starszą. Znać było po niej, że jej zaranna młodość zdążyła już spojrzeć w posępne otchłanie życia i zetrzeć pył motyli ze swich skrzydeł.

Anielka ujęła w swoje dłonie miękką rękę dziewczyny.

— Józio, jakże można wierzyć plotkom, które rozsiewają służące i...

— Kiedy ja czuję, że to prawda!

— Dzieciak z ciebie!

— Oho! dzieciak!... Ja już dużo przeżyłam i dużo wiem, może więcej od pani. Tak, to napewno, że tatusz woli Kazię... No, może to i nic dziwnego... Kazia posłuszniejsza, cichsza, uczy się dobrze, a mnie to zawsze coś w nauce przeszkadzało, a szczególnie chłopcy...

— Jakto chłopcy?

— Bo ja, proszę pani, nie mogę przejść ulicą, żeby się za mną mężczyźni nie oglądali. I to nie tylko studenci, ale i starsi panowie, a czasem to nawet zupełnie siwi! — opowiadała Józia z dziwną mieszaniną zawstydenia i zadowolenia. — A cóż ja temu winna?

Anielka, patrząc na ruchliwą twarz Józii, rozbłysła w tej chwili oczy, uśmiechnięte wiśniowe usta, zrozumiała, dlaczego mężczyźni oglądają się za tą dziewczyną...

Szedł od niej jakiś nieokreślony urok, który i Anielkę objął w posiadanie, odpowiedziała więc łagodnie:

— Tak zupełnie bez winy to ty nie jesteś, moja Józio... Kokietujesz zanadto, a nie powinnaś tego robić... To i za wcześnie dla ciebie i wogóle źle i brzydko...

— Może i nie powinnam... Ale to tak przyjemnie podobać się... — odparła naiwnie Józia.

Anielka spojrzała na nią surowo, bez słowa.

Józia zrozumiała ten wzrok!

— O moja droga pani — zawołała, składając ręce jak do modlitwy — niech się pani na mnie nie patrzy tak ostro, jak jedna moja ciocia, która zawsze wtedy przychodzi do nas, kiedy trzeba mi dać „burę“. Jak tylko coś zbroję, to ona zaraz jakby z pod ziemi wyrasta... A ja nie chcę, żeby pani była do niej podobna!

Anielka rozbrojona wdziękiem Józii uśmiechnęła się znowu...

— Wiesz Józio, mnie się zdaje, że ty często sama nie rozumiesz tego, co mówisz i robisz...

— Czy ja wiem... Może... Ale ja pani jeszcze coś powiem... Coś, czegoby nikomu innemu nie powiedziała... Ja się tutaj w Pradze zmieniałam... Ja już teraz o żadnych innych chłopcach nie myślę, tylko... Urwała.

— ...o panu Żarnickim — dokończyła Anielka.

Józia skinęła głową.

— Tak!... — szepnęła.

— Więc on ci się doprawdy tak bardzo podoba, Józio?

Józia patrzyła przed siebie zamyślona.

— Bo ja wiem, jak się to stało... Z początku to on mi się wcale nie podobał, zdawało mi się nawet, że jest brzydki... Ale raz spotkałam go, kiedy wychodziłam z kościoła... Podszedł i zaczął rozmowę... Rozmawialiśmy wtedy długo, długo i ja spostrzegłam, że on ma oczy bardzo piękne i uśmiecha się tak ślicznie i głos ma bardzo miły... Patrzył na mnie tak dziwnie, że aż mnie niepokój ogarnął... Na drugi dzień przyniósł mi do domu książkę, o którą go prosiłam... Namówił mnie, żebym z nim poszła na spacer, tam daleko, wie pani, na Petfin. I mówił do mnie tak dobrze, tak ładnie, jak nie słyszałam jeszcze. A potem widywaliśmy się coraz częściej... Gdzie tylko szłam, gdzie się obróciłam, spotykałam go zawsze... Aż wreszcie...

Przerwała znowu.

— No i cóż dalej, mów Józio... — zachęcała Anielka, gładząc ręką pieszczotliwie włosy towarzyski.

— Powiedział mi, że mnie kocha...

— A ty co na to?

Józia zamiast odpowiedzi ukryła twarz na piersiach Anielki.

Zapanowało między nimi w tej chwili głębokie porozumienie. Opowiadanie Józii wywołało w myślach Anielki wspomnienie innego człowieka, który umiał także mówić „dobrze i ładnie“, za którym tęsknota dręczyła ją od tylu miesięcy i gasiła świeżość jej rumieńców.

W głosie Józii słyszała prawdę, czuła, że ta dziewczyna naprawdę pokochała Żarnickiego.

— No i cóż — pytała dalej Anielka — tworzyć jakie plany na przyszłość? Ty jesteś jeszcze wprawdzie młodzieńcem, ale pan Żarnicki powinien się poważnie na życie zapatrywać...

— Plany na przyszłość? — zapytała zdziwiona Józia — Nie, nigdy o tem nie mówimy.

Anielka milczała chwilę, zastanawiając się nad czemś.

— Józio — zapytała wreszcie — czy ty tutaj w Pradze jesteś bez opieki jakiegokolwiek starszej osoby?

— To ja mam opiekować się Kazią — odpowiedziała z pewną dumą Józia — Tatusz, jako urzędnik, musiał zostać w Krakowie, a nas dwie wysłał tutaj ze służącą...

— A może to byłoby dobrze, gdybyś ty szczerze o wszystkim ojcu napisała?

Józia zatrzepotała się w nagłym przestraszu, jak ptak spłoszony.

— Napisać do tatusia?! Nie, nigdy! Ja się boję! Pani nie zna mego tatusia! On zawsze taki surowy dla mnie. Zabrałby mnie zaraz stąd, zamknąłby mnie w jakim klasztorze! Jaby już więcej Konrada nie zobaczyła!...

W głosie Józii zdrząły łzy.

— Ależ... — próbowała perswadować Anielka.

— Nie, nie!

Anielka przypomniała sobie opór pani Krystyny, jej zakaz surowy i dała spokój dalszym perswazjom.

Józia spojrzała na zegarek i zrywając się z ławki zawołała:

— A to się zagadałam! Z panią tak dobrze się gwarzy, a on tam już czeka. Żeby się tylko nie zaziębił na tym wietrze. On ma takie słabe zdrowie...

Pospiesznie ubierała czapeczkę, zakiet i przymocowała do klapy zakietu pęczek świeżych fiołków.

Poważny nastrój chwilowy opuścił ją już zupełnie, oczy jej rozbłysły znowu tysiącem figlarnych ogników, w wesołym uśmiechu odsłaniała białe ząbki.

Ucałowała Anielkę serdecznie i wybiegła, nucąc:

„Mama mówi, że mam dziecinna,  
Że to tylko pusty szal,  
Ach, mój Boże! Cóż ja winna,  
Że mi Pan Bóg serce dał!“

Po skończonym dyżurze Anielka wyszła z „kuchni“ i skierowała się ku domowi, ostrożnie stąpając po mokrym, oślizgłym chodniku.

Tajało...

Dzień był ciepły, pogodny — jakieś tchuienia przedwiosenne, płynące od pól i lasów, przebiegały miasto...

Mali kwiaciarze i kwiaciarki uliczne sprzedawali już bukietki białych śnieżyczek i wiązki przedwcześnie w tym roku rozkwitłych „bazi“ wierzbowych.

W oknach wystaw sklepowych znaczyło się oczekiwanie blizkiej wiosny słomkowymi i jedwabnymi kapeluszkami, opatrzonymi kartką reklamową: „najświeższa nowość wiosenna“.

Anielka nie lubiła zimy i cieszyła się, czując powracającą wiosnę.

Razem z odrodzeniem ziemi budziły się w niej jakieś słodkie, radosne marzenia i nadzieje.

— A może przecież przyjdzie jakaś wiadomość

dobra o nim... Może napisze... a może... może przyjedzie sam, kiedy się dowie... Przecież tylny żołnierz przyjeżdża na urlopy...

Od czasu, kiedy złożyła w ręce Montwiłła troskę o poszukiwanie Kazimierza, czuła się spokojniejszą i weselszą.

Ufała Montwiłłowi, że dotrzyma przyrzeczenia i żyła nadzieją — — —

W stosunkach towarzyskich pani Krystyny zaszła zmiana, z której Anielka była bardzo zadowolona.

Pani Wolska porobiła dużo nowych znajomości, wobec czego wyłączny wpływ Potyrowskiego musiał się siłą faktu osłabić, zwłaszcza, że tu i ówdzie obijały się jej o uszy wcale niepoehlebne wzmianki i rozmaite dwuznaczne przypuszczenia odnośnie do osoby i sposobu życia „pana inżyniera“.

Pani Krystyna niezupełnie wierzyła temu, co słyszała i sympatii swojej, którą Potyrowski umiał zręcznie podsycać komplementami i płomiennymi spojrzeniami, nie odebrała mu — zachowywała się jednakże mimowolnie z coraz większą rezerwą.

Koncewicz zaś stracił kompletnie grunt u pani Krystyny.

Montwiłł wyrugował go zupełnie z planów i łask troskliwej ciotki.

Pani Wolska poznała się odrazu na uczuciach, jakie wzbudziła Anielka w sercu Montwiłła i wkrótce doszła do przekonania, że to byłaby „piękna para“.

Anielka zachowywała się w tym wypadku dyplomatycznie.

Nie potwierdzała, ani też nie rozwiewała przypuszczeń ciotki — bo w ten sposób mogła się uwolnić od towarzystwa i natrętnych nadskakiwań Koncewicza.

— No, Koncewicz mógł się jej nie podobać! — myślała pani Krystyna — Prawda, jest trochę ospały, ślamazarny i czasem nudny, ale Montwiłł, to zupełnie co innego... Ja sama, gdybym była młodszą... Przy takim konkurencie to chyba zapomni o swoim słuszu...

Anielka odgadywała myśli ciotki i nieraz brała ją ochota, aby zarzucić opiekunce ręce na szyję i powiedzieć szczerze:

— Ciociu, nie snuj napróżno planów... Choćby nie jeden Montwiłł, choćby dziesięciu, stu piękniejszych jeszcze Montwiłłów, to dla mnie niema i nie będzie...

Ale zaraz stawały jej w pamięci uprzedzenia i niechęć pani Krystyny do Kazimierza — milczała więc przezornie. — — —

Przechodząc koło perfumeryi, Anielka wstąpiła, aby załatwić jakiś drobny sprawunek dla ciotki.

Kiedy wyszła ze sklepu, spostrzegła wyłaniające się z za zakrętu ulicy postacie Żarnickiego i Józii. Szli pod rękę, rozmawiając żywo, tak zapatrzeni w siebie, że zdawali się nie widzieć nikogo więcej.

Przeszli obok Anielki, nie spostrzegłszy jej wcale.

Anielka poszła z wolna dalej i mimowolnie musiała zasłyszeć coś z rozmowy, idącej przed nią pary.

— Od kogo te fiołki? — pytał Żarnicki, wskazując na bukiet, przypięty do żakietu Józii.

— A nie powiem! — przekomarzała się dziewczyna.

— Ja i tak wiem, od kogo! To od Wicherka!

— Od pana Wicherka?! Ale, skądże znowu! Ja go już chyba tydzień nie widziałam. Kiedy to ja z nim mówiłam raz ostatni? Aha! We wtorek...

W oczach Żarnickiego zamigotał gniew, mocniej przycisnął ramię dziewczyny do siebie.

— Więc znowu mówiłaś z nim! Widzisz, a tyle razy prosiłem cię, obiecywałaś mi... Józio. Tobie zupełnie wierzyć nie można.

— A cóż ja miałam zrobić, jeżeli on podszedł do mnie i przywitał się. Szedł właśnie od pracy i był taki zmęczony! On pracuje teraz jako prosty robotnik. Zurtował z tego, mówił, że pisze w kancelarii ołówkiem, ale takim ciężkim, że wieczorem ręką ruszać nie może...

Wzmianka o ciężkiej pracy Wicherka była Żarnickiemu widocznie nieprzyjemną, bo ściągnął brwi i rzekł z przekąsem:

— Pozuje na bohatera, interesującego męczennika pracy, żeby zawracać głowy takim gąskom, jak ty...

Józia szarpnęła się obrażona:

— Jeżeli pan w ten sposób będzie do mnie mówił i tak mi dokuczał, to, doprawdy, mogę załować...

— Czego?!

— ...Ze pana Wicherka nie poznałam wcześniej niż pana.

(Ciąg dalszy nastąpi).